

Pismo

MAGAZYN OPINII

STYCZEŃ 2024 | NR 1 (73)

STUDIUM

**Czy możemy
żyć dłużej?**

PORTRET

**Elon Musk chce
jeszcze więcej**

ROZMOWA

**Sens życia według
Jacka Hołówki**

ESEJ

**Pułapki
progresywnej
ekonomii**

CENA: 19,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

0 1 >



9 772544 502401

MAGAZYN OPINII

Pismo.

STYCZEŃ 2024 | NR 1 (73)



MGW

Muzeum Getta
Warszawskiego
www.1943.pl

Premiera książki



PRZEWODNIK PO DAWNYM GETCIE WARSZAWSKIM

www.sklep.1943.pl

Pismo.

STYCZEŃ 2024

PROZA FELIETON

Ile przystanków do owcy? | 6
OLGA HUND

2 | ROZMOWY Z K. **Nieznosna obcość mitochondriów**
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytanie czytelniczki

Kolonia | 88
AUDREY MAGEE

96 | **À propos długowieczności**
ZUZANNA KOWALCZYK

POEZJA APTECZKA

Niedziela | 3
KRZYSZTOF SIWCZYK

95 | **Co w niej trzyma...**
PAUL B. PRECIADO, pyta MATEUSZ ROESLER

mysz (przez anne carson) | 18
ANOUK HERMAN

STUDIUM

[...] | 62
WASYL STUS

10 | **Prędkość ucieczki od XT9T**
KATARZYNA KAZIMIEROWSKA sprawdza, jak żyć długo i szczęśliwie

OBRAZ

W KADRZE **Marta** | 4
AMADEUSZ ŚWIERK

ROZMOWA

24 | **Rzeczy zbyteczne**
KAROLINA LEWESTAM rozmawia o sensie życia z JACKIEM HOŁÓWKĄ

FOTOREPORTAŻ **Romni** | 42
KATARZYNA PIECHOWICZ

REPORTAŻ

34 | **Matkę oddasz?**
ALEKSANDRA WARECKA odsłania kulisy opieki domowej nad chorymi w Polsce

KOMIKS **Co tam u Ciebie, babciu** | 68
EDYTA BYSTRONŃ

PORTRET

W RAMACH PISMA **Bez tytułu** | 86
ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA o TOMASZU MACHCIŃSKIM

54 | **Szara eminencja Elon Musk**
RONAN FARROW przeświebla człowieka, który chce mieć wpływ na naszą rzeczywistość

ŻARTY RYSUNKOWE | 30
MICHAŁ RZECZNIK

ESEJ

OKŁADKA **Dorian Gray**
KAROL RADZISZEWSKI

76 | **Postrealność postwzrostu**
KAMIL FEJFER bada, na ile *degrowth* jest odpowiedzią na ryzyka naszych czasów

Pismo.

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wyszyńska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Redaktorki prowadzące: Katarzyna Kazimierowska (sekretarstwo redakcji),
Zuzanna Kowalczyk, Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, Felieton: Karolina Lewestam,
Redakcja: Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, Korekta: Ewa Bargiel, Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Wydanie cyfrowe i audio: Barbara Sowa, Ewa Pluta, Iga Gromska, Karolina Wasiczek
Projekt makiety: Jacek Utko, Dyrekcja Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz, Skład i lamanie: Marta Juchnowicz-Bierbasz,
Marketing: Mateusz Roesler, Promocja: Ewa Salamon, Fundraising: Inez Jaworska
E-commerce: Anna Ostrowska, Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma”.

Droga K.!

Piszę do Ciebie, ponieważ z każdym dniem coraz bardziej zdaję sobie sprawę, że nic nie wiem. O sobie, swoich emocjach... Odpowiedź na pytanie, kim jestem, staje się coraz bardziej zamglona i rozwarstwiona. Nie rozumiem swoich pragnień i potrzeb. Nie wiem, czy tęsknię za kimś, czy po prostu czuję pustkę. Czasami mam poczucie, że wiem, że rozumiem. Podejmuję wtedy decyzje, których potem zwykle żałuję. A przecież przez chwilę byłam pewna, że robię dobrze, że to odpowiedni moment, odpowiednia osoba i odpowiednie miejsce. Jestem już zmęczona niewiedzą. Cały czas przez to obrywam i ranię innych. Mówią, że jeśli nie spróbujesz, to się nie dowiesz, ale mam poczucie, że z każdą próbą wiem coraz mniej. Czy da się to jakoś zatrzymać? Czy powinienam się po prostu pogodzić z tą niewiedzą?

Pozdrawiam
M.

Nieznosna obcość mitochondriów

Droga M.!

Oto przypowieść, choć zdarzyła się naprawdę.

Dwa miliony lat temu do komórki eukariotycznej przyszło sobie małe stworzenie zwane mitochondrium i zapukało. Po krótkim namyśle błony komórki rozwarły się i wpuszczono je do środka. Mitochondrium przepłynęło koło jądra, zahaczyło o wakuolę; pohuściło się na siateczce śródplazmatycznej i pomyślało: „No, przyjemnie tu, zostanie jakiś czas”. Nie wiedziało jednak, że komórka jest jak *Hotel California*: *You can check out anytime, but you can never leave*. Mitochondrium nigdy już nie opuściło lepkiej cytoplazmy i teraz, gdy pani pyta na biologii, jakie są części komórki, co pilniejsze dzieci krzyczą „Mitochondrium!”, bo nikt nie pamięta, że ono kiedyś wcale nie było częścią, lecz całością; że miało swoje osobne samowystarczalne życie. Nie rozumiemy, że do dziś, kiedy wszyscy śpią (odpoczywające wodniczki wydymają się wolno i rytmicznie), ono wciąż śni swoje zupełnie prywatne sny.

Ta przypowieść jest po to, żeby ci powiedzieć: Droga M., jak masz znać siebie, skoro Inny czai się w każdej komórce twojego ciała? Jak możesz myśleć o sobie „ja”, kiedy jesteś kolonią organizmów i znaczeń? Czy wiesz, że w Twoich jelitach istnieją miasta, których historia wypełniłaby miliony ksiąg (tam bohaterscy pionierzy ze szczepu *Bifidobacterium* właśnie zajęli Siedemnasty Skręt)? Czy wiesz, że Twój mózg to nie jeden mózg, ale kora mózgowia, która wyrosła wokół mózgu ssaczego, a ten narósł wokół tego, co przekazały nam w spadku gady? Czy wiesz, że Twoja dusza z samej swej natury jest w kawałkach, a większość tych kawałków w ogóle nie jest Twoja? Czy wiesz, że jesteś jak skrętnica, która jest jedną komórką, zanim nie sklei się z tysiącem innych skrętnic i powstanie z nich glonowy wąż? I czy w obliczu tego wszystkiego nagle to, że wydajesz się sobie rozwarstwiona, nie zaczyna wydawać się zupełnie normalne, a dziwić mogą te chwile, w których zdajesz się być jednością?

Ja tak mam: dziwi mnie, że trzymam się kursu, że kończę rzeczy, które zaczynam, że dziś lubię wciąż to, co wczoraj. Dziękuję losowi za instytucje społeczne w rodzaju małżeństw czy redakcji, bo skupiają w sobie rozczochrane wektory mojego nie całkiem istniejącego ja; dzięki nim osobne cząstki mnie wykonują swoje ruchy Browna w naczyniach o zdefiniowanych kształtach. Bo przecież jestem pełna prywatnych snów swoich mitochondriów i innych części mnie, które myślą, że są po prostu sobą; to cienkie, ledwo słyszalne głosy, które raz mnie budzą, a czasem kołyszają do snu – a być może i ja śnię swój prywatny sen, będąc czymś w rodzaju mitochondrium, które śpi w cytoplazmie komórek galaktycznych olbrzymów. Pod nami są małe wszechświaty, nad nami wszechświaty wielkie, a najdziwniejsze jest to, że sami jesteśmy wszechświatem. Nikt nie jest tylko sobą; nie jesteś sobą także i Ty, M., która jesteś mądrzejsza niż inne wpoświadome roje, bo Ty wiesz, że owszem, jesteś rojem, ale jesteś także zbiorem pszczół.

Wiem jednak, że iluzja bycia sobą i tylko sobą bywa rzeczą pożyteczną; gdy widzimy wielość w sobie, jest nam trudno i źle. Profesor Jacek Hołowka (rzuć okiem na wywiad z nim, tylko kilka stron dalej) też ukrywa przed żoną swój wewnętrzny tłum; nikt nie chce być wielością, wielość ma złą prasę. Ale jesteśmy rojem – a każdy rój ma swoje tendencje i zwyczaje. M., patrz na siebie i ucz się melodii zbiorowej pieśni o Tobie; pewnego dnia staniesz się królową, która będzie umiała pewniej prowadzić swój tłum.

Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. rozmowyzk@magazynpismo.pl

POEZJA

Niedziela


KRZYSZTOF SIWCZYK

—

W korytarzach loty schodzą o czasie,
w ogrodach składa się do zmierzchu.
Autostrada nie ma dokąd jechać,
gra szelest traw, zielona fala podchodzi
pod obejścia, konie pędzi bat.

Niedziela całokształtu. Wyrwy robi jęk
psa, zmęczenie materiału, głosy wewnątrz
ludzi, jak jeden patrzących teraz po sobie.
Chociaż dzieli ich mur ze słów i łączy
echo tego, czego nie chcieli, wciąż mówią.

Czekają na dzień z tych niebyłych
i niewydarzonych. Masa czasu spłynie
w kanały, z pustych hangarów wyjdą
z nich szare noce i zgrzytanie zębów
wyrwie ze snu język Bóg wie kogo.

A photograph of a person sitting at a table in a room with blue walls and patterned textiles. The person is wearing a dark green long-sleeved shirt and light-colored pants. The table is covered with a patterned cloth and has a white sink, a mug with a floral design, and some bottles on it. Two patterned textiles are hanging on the wall above the table. The lighting is warm and focused on the person and the table.

W KADRZE z cyklu *Jedni z nas*

Marta

zdjęcie i tekst AMADEUSZ ŚWIERK



—
Marta Głowiak ma dwadzieścia osiem lat. Kilka lat temu, zmęczona miejskim życiem, szukając spokoju, osiadła w Beskidzie Niskim. Najpierw pomieszkiwała po domach znajomych, aż wreszcie trafiła na starą łemkowską chyżę, którą wynajęła zaraz po śmierci dawnej właścicielki. Postanowiła nie ingerować w wystrój, charakter czy wyposażenie chyży. Za to szybko zauważono jej obecność w okolicy. Przez dwa pierwsze lata żyła z wypieku tradycyjnego chleba na zakwasie w kaflowym piecu, który codziennie błyskawicznie rozchodził się po wsi i szybko zyskał status kultowego. W 2023 roku Marta kupiła własną ziemię koło Krempnej. Mieszka tymczasowo w barakowozie – w jego remoncie pomagali sąsiedzi – jednocześnie zbiera materiały na budowę domu, który ma powstać z drewna pochodzącego z rozbiórki innych budynków. Zajmuje się obtykaniem chat, czyli tradycyjnym ocieplaniem drewnianych domów za pomocą mchu. W wolnym czasie pochłania ją sztuka ludowa. Sama maluje słowiańskie runy na chatach, zwłaszcza wokół futryn drzwi, hołdując tym samym łemkowskiej tradycji. Marta docenia kontemplacyjność życia biegnącego poza głównym nurtem społeczeństwa, blisko natury. Mówi, że lubi tworzyć mikroświaty.

Ile przystanków do owcy?

tekst OLGA HUND

To mogła być owca, ale mogło to też być dziecko w kozuchu – powiedzieli, gdy już się trochę poznaliśmy, jakiś czas po tym, jak niedaleko śmietnika zaczęli mnie, prosząc o papierosa. Zaczepił właściwie jeden, ten odważniejszy.

– Ja też mogę? – Zza odważniejszego wychylił się drugi. Wydawało mi się, że delikatnie i jakby mimowolnie dygnął. Kiwnęłam głową, sama też lekko dygając.

Wyciągali papierosy z paczki w wielkim skupieniu: ostrożnie i nienaturalnie powoli. Przypominali dzieci grające na dywanie w bierki lub pijanych dorosłych udających trzeźwych. Bardzo się ucieszyli z tych szlągów, palili szybko i w milczeniu. Zapytaliśmy się nawzajem o imiona i natychmiast je zapomnieliśmy.

– Powiedz nam coś o sobie, czym się w życiu zajmujesz, masz wspaniałą kurtkę, jesteśmy ciebie bardzo ciekawi – powiedział ten odważniejszy. Podejrzywałam, że chciał jeszcze na chwilę zatrzymać przy sobie moje papierosy.

– Nie, to wy mówcie, wy mnie zaczęliście.

Chłopcy byli bardzo młodzi i na takich wyglądali. W ich życiu musiało się jak dotąd niewiele dziać, bo mówiąc o czymkolwiek, powtarzali zdania zasłyszane w filmach. Nic ich nie powstrzymywało przed kłamstwem, na pewno nie obca starsza kobieta, a mimo to

z ich ust wychodziły zdania nudne i zużyte. Zrobiło mi się przykro, że nawet się nie wysilają. Rozmowa nie przypominała *small talku*, poruszali kwestie inne niż pogoda, nie pytali, jak podoba mi się miasto, ale wciąż brzmiało to jak włączony przypadkowo telewizor. Kiedy jeden z nich gasił kolejnego peta, zauważyłam, że obydwaj mają na nogach brzydkie robocze buty popularnej, dość taniej marki.

– A gdzie pracujecie? – zapytałam.

Mniej odważny z chłopców bardzo się zdenerwował i podniósł głos.

– Daję sobie chwilowo czas na poznanie siebie – oznajmił, drapiąc się w szyję. – Wiem, czego nie chcę, wiem, czego chcę, i wiem, że życie jest za krótkie, by się dać zamknąć na osiem godzin w klatce. Próbuję różnych rzeczy, mam taki czas próbowania, żeby się dowiedzieć, w czym jestem dobry. Jakby ludzie tego nie rozumieją, ale pieniądze to nie wszystko, dla mnie liczą się relacje, energia, ruch. Przede wszystkim ruch i relacje.

– Dla mnie też – przerwał mu drugi, od dłuższej chwili widać było, że chce to zrobić. – Bo ja jestem choreografem. Uwielbiam kino, ale prawdziwa magia jest w nowoczesnym teatrze, na scenie, w tańcu.

– Totalnie w teatrze – wtrącił się bezrobotny.

– Wszystko jest w ruchu, wicie? Nawet teraz: jesteście na planecie, która tańczy

wokół innych planet. Poza tym uwielbiam szyć, szyć to moja pasja, ale konkurencja jest duża. Wielu popularnych projektantów nie potrafi szyć, są to słabe jakościowo rzeczy. Wypromowane sztucznie. Wymienić wam, kto nie potrafi szyć?

– Ja też bym bardzo chciał szyć. Albo być choreografem. – Bezrobotny pożałował tych słów od razu po ich wypowiedzeniu i natychmiast przyjął najbardziej nonszalancką z póz, jakie znał. – Ale i dużo rozmyślam nad rynkiem pracy. Choć nie mam żadnej, to bardzo nie chciałbym psuć rynku. Pracować za minimum, poniżej godności. Przy moich ambicjach to nie miałyby sensu.

– Ostatnio szyłem strój dla diabła, wspomniałem, przepotężnego Mefista! Bardzo mroczna praca, wymagała niezmiernego skupienia, bardzo taki sensualny strój, musiałem zajrzeć w głąb ludzkiej duszy. – Choreograf mówił z dużym przejęciem.

– Ja bym dla diabła na przykład nigdy nie szył – wtrącił bezrobotny, który obiecał sobie teraz bardzo zważać na słowa, ale po chwili jakby coś w niego wstąpiło. – Raczej dla innych postaci bym szył. No i nie w jasełkach, nie widzę się, jak przyszywam ogon królikowi, łaty misiowi pandzie, uszy myszkom i tak dalej. Ani jak ustawiam dzieci w szeregu do tańca.

Choreograf popatrzył na przyjaciela ze złością.



– Ja tam wolę dupy zającom przyszywać, niż płakać u rodziców o pieniądze.

Jeszcze trochę, a zaczęliby się bić. Wyciągnęłam papierosy. Zrobiło się spokojniej, rozmowa zeszała na finanse. Przysłuchiwałam się temu, co mówili chłopcy: nie zarabiali wcale albo niedużo, zawsze z doskoku. Teatr dla dzieci nie płacił wiele. Bezrobotnemu pomagali rodzice, ale tylko w sytuacjach naprawdę kryzysowych. Wynajęli mu małe mieszkanie, które obiecali opłacać do czasu, aż syn znajdzie pracę. Skromne i daleko od centrum, żeby się nie zasiedziało. Raz w tygodniu przychodziła też opłacana przez nich pielęgniarka, żeby zmierzyć mu ciśnienie i takie tam. Odważniejszy – choreograf szyjący też kostiumy – nie miał tak możliwości rodziców i radził sobie sam. Choć też lubił teoretyzować na temat relacji z pracą, bezrobotny go często drażnił. Zwłaszcza gdy pożyczął od niego pieniądze, bo wydawał więcej, niż dawali mu rodzice.

– Pieniądze są, pieniędzy nie ma, nie chcę tracić życia na myślenie o nich! – Bezrobotny się rozgniewał, a choreograf tym razem przyznał mu rację. Ich relacja była jak wiosenne burze, chwilę po załagodzeniu jednego konfliktu rozpętał się kolejny. Kiedy znów zaczęli się spierać, tym razem o to, jak robić piękne zdjęcia i kiedy jest najlepszy czas na zwiedzanie świata, przestałam ich słuchać.

WCIĄŻ JESZCZE nie powiedzieli nic o owcy. Zaczęło mżyć i wilgoć spulchniła im twarze, wygładziła rysy, czyniąc ich jeszcze młodszymi. Gadali terapeutycznym językiem dorosłych, którymi nie byli – o życiu, które nie było ich życiem. Schowali się przed deszczem pod blaszanym daszkiem śmietnika, za małym dla naszej trójki. Stażeli obok mnie, bliźniutko. Instynktownie przycisnęłam ręce do ciała, wciągnęłam brzuch i stałam się dużo mniejsza. Dopiero wtedy zauważyłam, w co byli poubierani. Człowiek musi mieć dużo siły w barkach, żeby nosić coś takiego: długie do ziemi płaszcze, uszyte w całości ze skóry. Właściwie z wielu różnych skór, wielu różnych zwierząt, co brzmi upiornie, ale tylko jeśli się nad tym zastanawiać. Nie mieścili się w tych płaszczach pod daszkiem i spore fragmenty skóry, zwłaszcza te długie, królewskie tyły, pawie ogony

uszyte z krowiego boku, mokły i ciemniały. Płaszcze-peleryny były do siebie podobne, jednak nie na tyle, by sądzić, że pochodzą z jednego sklepu. Widać było, że dla każdego z chłopców dobry krawiec osobno rozkładał igły i narzędzia, z każdego osobno brał miarę, każdego osobno podliczył. Fascynowały mnie te stroje, bo na długi czas zapomniałam o skórach, o prawdziwych skórach realnych zwierząt, choć dawno temu były dla mnie oczywistością. Kiedyś wszyscy chodziliśmy w skórach. Mój ojciec miał zimową czapkę uszytą z dwukolorowych skórzanych łat. Matka – wiele kamizelek, a ja i moje rodzeństwo – małe, zapinane na kołki kożuchy, w których wyglądaliśmy jak nasi babcia i dziadek, którzy też takie mieli. Zimą wszyscy parowaliśmy jak konie w stajni. Ten smród unosił się w naszych domach, kościołach, szafach i przedpokojach przez okrągły rok.

POD BŁOK PODJECHAŁ samochód i kierowca musiał się nakręcić, żeby wpasować się w ciasną przestrzeń ostatniego wolnego miejsca na parkingu. Żaden z chłopców nawet nie zerknął w jego stronę. Mężczyzna wykręcał, gazował, nie mieścił się, podjeżdżał, poprawiał. Próbował wjechać przodem, ale był to plan z góry skazany na niepowodzenie. Próbował tyłem. W koronach drzew darły się pobudzone ptaki, śmiejąc się lub kibicując. Za blisko, za daleko, jeszcze raz, cholera – zgasło. Wszystko to działo się dziesięć metrów od nas – a chłopcy nic. Nie przypominali mi nikogo, kogo znam: ludzi potrafiących rzucić wszystko, przerwać w połowie nawet najciekawszą anegdotę czy dowcip, żeby popatrzeć, jak człowiek parkuje. Gdyby ktoś nieopodal układał teraz kostki brukowe, szpachlował dziurę w ścianie czy wnosił do budynku niemieszczącą się w drzwiach kanapę, pewnie też nie poświęciłoby temu większej uwagi. Mężczyzna, który w pocie czoła parkował auto, wysiadł z samochodu i zobaczył, co zobaczył: kobietę pod pięćdziesiątkę i dwóch młodych chłopców z kieliszkami wina w rękach. Bóg wie, co sobie pomyślał, może wiele, a może nic, a ta kobieta pod pięćdziesiątkę, której rodzice musieli mieć przynajmniej siedemdziesiąt, a babcia, jeśli żyła, musiała mieć dokładnie

dziewięćdziesiąt trzy lata, była jedyną osobą, która tego wieczoru myślała o swoim wieku. Ile ona ma lat, ile świat ma lat.

– No dobra – powiedziałam. Nagle wszystko mi się znudziło, cała ta rozmowa i ten wieczór, schowałam papierosy do kieszeni, a oni, szukając sposobu, żeby mnie zatrzymać, spanikowani powiedzieli mi o owcy.

Podobno widzieli ją samotną, leżącą bez ruchu gdzieś na polanie, do której doszli, kierując się w stronę księżycy.

– To mogła być owca, ale mogło to też być dziecko w kożuchu – powiedział bezrobotny, patrząc mi prosto w oczy.

Raz mówili, że była sztywna, raz, że mięciutka. Słowo „nieżywa” nie przechodziło im przez gardło. Kilka razy rzucili, że mogło to być cokolwiek innego, fatamorgana, duch albo sterta szmat, zawsze jednak wracali do koncepcji, że to na pewno była owca, i to każało mi tam stać.

– Gdzie jest ta polana? – spytałam.

– Kawałek stąd. Najpierw jechaliśmy trochę trolejbusem, a potem szliśmy pod górę kilkanaście minut, za tym księżycem. Trafiliśmy na polanę, a ona tam po prostu leżała, bez krwi, ale i bez ruchu – powiedział bezrobotny, zdejmując mi jakiś paproch z ramienia. – I patrzyła w niebo, jak na komety.

– Na ruchy gwiazd – dodał choreograf. – No, ale w ogóle się nie ruszała, tylko wiatr robił tak huś-huś jej futerkiem.

– Ale mogła żyć, tego nie wiemy. Żyć i patrzeć na ruchy gwiazd.

– Macie zdjęcia? – spytałam.

– Zwariowałaś? Nawet nam do głowy nie przyszło, żeby robić zdjęcia. Telefony nam się rozładowały. Myśmy się tylko położyli obok niej i leżeliśmy.

– Ja sobie wyobrażałem, że szyję dla niej stroje, kostiumy do teatru, i w każdym wygląda tak samo pięknie jak ty. Potem sobie poszliśmy.

– I jesteście pewni, że to była owca?

– Nie, ale mogła być. Może tak: w tym całym ruchu świata i gwiazd wydawało nam się, że to może być owca.

– Nie mogę zrozumieć, że nic nie zrobiliście – powiedziałam. – Jeśli jeszcze żyła. Dzwoni się po jakiejś służby, patrol, coś tam, straż miejską.

– No właśnie, nie wiedzieliśmy, po kogo zadzwonić.

—
CHŁOPCY RZUCILI PUSTE kieliszki w krzaki. Obiecali, że pokażą mi tę polanę i owcę.

Jechaliśmy trolejbusem. Po wejściu do środka bezrobotny omiół wzrokiem wnętrza, starannie wybrał miejsca, gdzie będziemy siedzieć, jakby chodziło o wigilijny stół. Wyrzucił ręce w górę, pod samo niebo, i krzyknął:

– Jak tu pięknie!

Pasażerowie spojrzeli na nas lekko spłoszeni.

Choreograf patrzył przez okno szeroko otwartymi oczami. Cokolwiek brali, musieli to wziąć niedawno, fazy ich stosunku do świata wciąż się jeszcze zmieniały. Jeśli jednak trafiłam na wariatów, te fazy będą się zmieniać do końca ich życia. Bezrobotny zastukał w głowę pasażera siedzącego przed nim, a ten odwrócił się, popatrzył zdziwiony na chłopca, potem na mnie i bez słowa przesiadł się na przód trolejbusu. Bezrobotny chichotał, zakrywając otwartą dłoń ustami. Zapytałam, ile jeszcze przystanków do owcy. Nie miałam żadnej pewności, że owca w ogóle istnieje, ale rozmowa o niej nadawała sens jej śmierci (o ile kiedykolwiek żyła). Powrót do tej historii roztkliwił moich nowych kolegów.

– Cały dzień myślę tylko o tym, że jestem rasistą. Że zachowałem się tak obrzydliwie. Jak mogłem się tak zachować? – Choreograf oderwał wzrok od okna.

Bezrobotny zmarszczył brwi i zrobił groźną minę, upodabniając się do psa, który warknął w naszą stronę, przechodząc chwilę temu.

– Zabraniam ci tak o sobie myśleć!

– On przyszedł na tę próbę i powiedział, że jest tancerzem, spytałem go, czego chce, bo przecież na pierwszy rzut oka było widać, że z przodu ma takie obrzydliwie zgniłe zęby. Myślałem, że tam sprząta czy jest technicznym. Jakby rozumiałem to, ale jaki tancerz nie ma zębów?

– Miałaś pełne prawo tak pomyśleć.

– A potem on powiedział, że tańczył w różnych *show*, też takich z gwiazdami, ale jakiego Cygana by wzięli do tańca z gwiazdami? I kiedy go odesłałem, nie mógł przecież u mnie tańczyć, uświadomiłem sobie, jak bardzo, ale to naprawdę bardzo, jest to rasistowskie, jak nie umiem się tego wyzbyć, w czym mnie wychowano, czego nauczono.

– Tak, to było rasistowskie. – Bezrobotny przytulił choreografa, a potem położył głowę na jego ramieniu. – Ale masz też prawo decydować, kto będzie u ciebie tańczył. To twoje przedstawienie, tylko twoje, i nikt ci tego nie zabierze. Tylko twoje, rozumiesz? I nie ma znaczenia, czy to przedstawienie dla dzieci, czy dla dorosłych. I wiesz co? Ta świadomość, którą już teraz masz, jest wspólna. Jest wartością.

– Rzygam sobą.

– Ta świadomość to najlepsze, co ty, konkretnie ty, możesz zrobić dla tej społeczności. – Bezrobotny mówił bardzo powoli. – To jest taka faza, którą trzeba przejść. Taka, po której się dostaje oświecenia. I stajesz się



lepszym człowiekiem. Może musiałeś wywalić tego zgniłozębca, żeby się dowiedzieć, kim jesteś, co jest dla ciebie ważne. I pamiętaj, to etap, faza. I my tę fazę możemy razem przejść.

W trolejbusie zapanowały zgoda i poczucie szczęścia. Bezrobotny, wciąż z głową na ramieniu kolegi, zamknął oczy. Bałam się, że mi posną. Szturchnęłam naraz obu, musiałam ich czymś zainteresować i utrzymać uwagę.

Zapytałam, czy znają osobiście kogoś o wielkich wpływach. Takiego naprawdę wpływowego, a oni energicznie i teatralnie kręcili głowami. Patrzyli po sobie, jakby temat ich nie dotyczył, kłamali, a to oznaczało, że wraca w nich życie. Zapytałam więc, czy znali kogoś, kto zmarł, poza owcą, a oni znów pokręcili bez słowa głowami i posmutnieli, nie znali.

– A co byście zrobili, gdyby ojciec prosił was o pieniądze na życie?

Wystraszyli się. Zapytałam, wciąż drążąc trudne tematy, czy biorą pod uwagę fakt, że mogliby się kiedyś ze sobą pokłócić na śmierć i życie. O jakąś głupotę. Spojrzeli na siebie z czułością i uśmiechnęli się.

– Oczywiście – odpowiedzieli.

W końcu wysiedliśmy, a chłopcy odetchnęli z ulgą – nie podobały im się te pytania. Ruszyli żwawo, zostawiając mnie z zadyszką w tyle. Było, jak mówili, szliśmy pod górę. Księżyc wciąż świecił. Po kilkunastu minutach przedzierania się przez wysokie chaszczki na horyzoncie zamajaczyła polana. Ja już byłam cała w rzepach – do mojego ubrania, od nogawek spodni po kaptur, poprzymocowały się kwiaty łopianu. Kiedy doszliśmy na miejsce, okazało się, że owca rzeczywiście istniała i że jest martwa. Silny wiatr, który się nagle zerwał, poruszał jej futrem wte i wewte, odsłaniając fragmenty różowej skóry. Z podobnego materiału mój ojciec miał czapkę, matka buntownicze kamizelki, a ja, moje rodzeństwo, babcia i dziadek – kożuchy. Owca faktycznie patrzyła w górę, podążyłam wzrokiem za jej spojrzeniem, ale na niebie nie było nic poza księżycem. Żadnych gwiazd, komet, sputników czy samolotów. Chłopcy zaczęli cicho płakać. Po chwili przestali i wspólnie słuchaliśmy wiatru.

Patrzyłam w niebo i zastanawiałam się, skąd ta owca – całkiem sama – się tu wzięła. Kiedy i dlaczego oddzieliła się od stada, czy też stado oddzieliło się od niej. Przed jej śmiercią czy po niej?

Kiedy po chwili opuściłam wzrok, bezrobotny klęczał przed owcą i całkowicie pochłonięty tym zadaniem wyciągał z jej futra rzepy, a choreograf ściągał swój płaszcz. Pod spodem ubrany był bardzo zwyczajnie, w sprane spodnie dresowe i flanelową koszulę. Kiedy bez słowa przykrywał płaszczem ciało zwierzęcia, bezrobotny bacznie go obserwował. Sam też sięgnął do guzika swojego płaszcza, ale zawahał się i cofnął dłoń. Bez wymyślnego okrycia jego przyjaciel wyglądał dziwnie, jak rozsiodłany koń.

Prozę w „Piśmie”
wspiera Miasto Gdynia,
sponsor Nagrody
Literackiej GDYNIA

NAGRODA
LITERACKA
GDYNIA



STUDIUM

Prędkość ucieczki od XT9T

tekst KATARZYNA KAZIMIEROWSKA

MULTIMILIONERZY WYKAJĄ GARŚCI SUPLEMENTÓW i za pomocą technologicznych zabawek śledzą swoje parametry życiowe, lekarze zalecają ruch, sen i dietę, genetycy tropią komórki zombie. Starość jest chorobą, na którą wszyscy szukamy lekarstwa.

Bryan Johnson ma czterdzieści sześć lat i żyje życiem niepodobnym do tego, jakie wiodą inni śmiertelnicy. Wstaje o 4:30 rano, ostatni posiłek spożywa przed południem i zasypia już o 20:30, kiedy większość z nas zaczyna przeglądanie Netflixu w poszukiwaniu ostatniego sezonu *The Crown*. Bryan nigdy nie zmienia swojego schematu dnia, więc można założyć, że jego życie towarzyskie nie obfituje w fajerwerki. Ale Bryan się trzyma. Więcej: jak pisze Charlotte Alter w jego sylwetce opublikowanej w tygodniku „Time”, otoczony sztabem lekarzy i specjalistów z różnych dziedzin Bryan narzuca sobie surowy zdrowotny reżim, którego rezultatem ma być obniżenie jego wieku biologicznego. „System ten obejmuje codzienne połykanie 111 tabletek, noszenie czapki z daszkiem, strzelającej czerwonym światłem w skórę głowy, pobieranie własnych próbek kału i spanie z nakładką na penisa, monitorującą jego nocne erekcje. Johnson uważa każdą czynność, która przyspiesza starzenie się – na przykład zjedzenie ciasteczka lub spanie mniej niż osiem godzin – za «akt przemocy»” (przeł. K.K.). Chciałabym tak myśleć o ciastku, niestety nie potrafię. Ciastko to czasem najlepsze, co się może wydarzyć, gdy organizm po pięciu godzinach snu zachowuje się jak samochód, któremu kończy się paliwo. Mam problem i ze snem, i z ciastkiem, ale wróćmy do Bryana.

O Bryanie Johnsonie, ultramilionerze, który wierzy, że śmierć jest zaledwie opcjonalna, a on sam jej nie planuje, pisały najważniejsze magazyny, jak „Time”, „The Economist” czy „The Guardian”, a jego profil na Instagramie śledzi pół miliona osób. Johnson chętnie dzieli się swoimi zdjęciami, wypowiedziami i osiągnięciami sportowymi. Twierdzi, że jego narządy wewnętrzne już osiągnęły wydolność osiemnastolatka. Jest jak Benjamin Button, wymyślony przez Francisca Scotta Fitzgeralda bohater opowiadania, którego ciało młodziło z wiekiem. Jednocześnie wygląd Johnsona zbija z tropu: jego skóra jest niepokojąco blada, wręcz przezroczysta, a młodzieńcze ciało kontrastuje z twarzą, która wyraźnie wygląda na starszą. Jego przedramiona są naznaczone licznymi punkcikami – to pozostałość po częstych nakłuciach, bo regularnie bada

sobie krew. Wydolność organizmu mierzy także za pomocą przyczepianych tu i ówdzie diod, tak pozyskane dane analizuje sztuczna inteligencja, a rozkład dnia układają mu algorytmy.

Można się śmiać z Bryana Johnsona, który w swoich deklaracjach długowieczności przypomina trochę kosmitę, ale czy nie próbuje realizować marzenia, które od zawsze towarzyszyło ludzkości? W liczącym ponad 3 tysiące lat eposie o Gilgameszu główny bohater poszukuje eliksiru, który zapewni mu życie wieczne. W mitologii greckiej mamy piękną historię o bogini Eos, zwanej Jutrzenką, która zakochała się w bracie Priama (króla trojańskiego), Titonosie. Gdy ten zaczął się starzeć, przerażona bogini uprosiła Zeusa, żeby obdarzył go nieśmiertelnością. I tak się stało, tyle że Eos zapomniała jednocześnie poprosić o dar wiecznej młodości. Titanos żył więc i kurczył się ze starości, aż przybrał rozmiary małego dziecka (nie, Benjamin Button nie był pierwszy). W końcu Zeus zlitował się nad nim i zamienił go w świerszcza.

Pamiętając tę lekcję z mitologii, łykający suplementy milionerzy z Doliny Krzemowej pokroju propagatorów barwnych idei transhumanizmu, jak lekarz i przedsiębiorca Peter Diamandis, naukowiec Ray Kurzweil czy wspomniany Bryan Johnson, chcieliby uniknąć losu Titanosa. Wieść życie wieczne – tak, życie starca – nie. Niczym współczesne inkarnacje Doriana Graya, chcą być adeptami i beneficjentami współczesnej magii: mieszanki nauki, medycyny i technologii, którzy odwrócą starzenie, cofną czas i nigdy nie będą musieli obrabiać swoich zdjęć w Photoshopie. Będą młodzi i zdrowi. Bo w końcu o zdrowie tu chodzi, prawda?

—
w 2018 roku Światowa Organizacja Zdrowia (World Health Organization, WHO) wpisała starość na listę chorób pod symbolem XTgT. A skoro starość jest chorobą (jak nazywał ją dekadę temu brytyjski wizjoner i badacz Aubrey de Grey, za co był wyśmiewany przez lekarzy i naukowców zajmujących się biologią człowieka), to znaczy, że można ją leczyć. Moment jest dobry, bo coraz więcej instytutów i ośrodków naukowych zajmuje starzeniem się. Z jednej strony jest

to związane z próbą wyeliminowania chorób wieku starczego, jak artretyzm, choroby stawów, demencja czy alzheimer [o którym pisał Mirosław Wlekły, „Pismo” nr 2/2018 – przyp. red.]; z drugiej – to praca nad tym, by jak najbardziej odsunąć te choroby w czasie, złagodzić ich objawy, może wręcz wyeliminować. A rozważania nad tym, jak to zrobić i co w tym pomaga, prowadzą do pracy nad badaniami, które pozwolą nam dłużej zachować zdrowy i sprawny organizm. Stąd już tylko krok do fantazjowania o młodym ciele w wieku sześćdziesięciu lat i odwróceniu starzenia.

O to, czy starzenie się można uznać za chorobę, pytam Nicka Bostroma, filozofa szwedzkiego pochodzenia i kierownika oxfordzkiego Future of Humanity Institute. Zastąpił wydaną w 2014 roku książką *Superrinteligencja. Scenariusze, strategie, zagrożenia* o ryzyku związanym z rozwojem sztucznej inteligencji; otwarcie mówi o swoich sympatiach wobec transhumanizmu.

– Musimy sprecyzować, co to znaczy „starzeć się”, bo mamy dwie różne definicje starości. Pierwsza mówi o liczbie lat, które minęły od twoich narodzin. Ta liczba zwiększa się z roku na rok i to samo w sobie jest chorobą. Gdyby nie fakt, że wraz z wiekiem pogarsza się stan naszego zdrowia, nie byłoby w tym nic złego. Drugie znaczenie tego pojęcia wynika ze starzenia się ciała, co zwiększa twoją podatność na wiele różnych dolegliwości, jak zatykanie się tętnic, zużywanie się stawów biodrowych, utrata elastyczności skóry, obumieranie neuronów czy mętnienie soczewki w oku. To wszystko kumuluje się z czasem w ludzkim ciele i uważam, że dobrze by było tego nie mieć. Mogę być starszy, ale bez starzenia się ciała, chorowania i bycia coraz węższym – dodaje.

– Czyli powinniśmy myśleć nie tyle o dłuższym życiu, ile o dłuższym zdrowiu? – pytam.

– To jest wybór między chorowaniem i śmiercią a byciem zdrowym – ucina. – Przecież z tego samego powodu próbujemy leczyć różne dolegliwości, jak alzheimer. Byłoby pożądane, gdybyśmy mogli coś zrobić z ogólnym procesem starzenia się, który jest podstawową przyczyną większości z nich. Oczywiście, wszystko zależy od jakości tych kilku dodatkowych lat, które możemy

zyskać. I to jest wielka różnica – jeśli masz kogoś pod respiratorem w szpitalu i dodasz mu jeszcze dwa lata, wartość i jakość takiego życia jest niska. Ale jeśli jesteś zdrowa i szczęśliwa, wydajnie pracujesz, opiekujesz się dziećmi i cieszysz się życiem, to dłuższe życie jest ogromną wartością. Dlatego uważam, że to osoby przeciwnie wydłużaniu życia powinny argumentować, czemu uważają to za zły pomysł, zwłaszcza że wiele innych rzeczy, których używamy, także służy uniknięciu choroby, śmierci czy niepełnosprawności, jak pasy bezpieczeństwa w samochodzie czy regulacje dotyczące jakości wody w kranie. Naturalną tendencją jest rozszerzanie tych działań na wszystkie aspekty naszego życia.

Opowieść Nicka Bostroma łączy się z tą snutą przez Aubreya de Greya, jednego z piewców transhumanizmu i współzałożyciela Methuselah Foundation, której celem jest „uczynienie dziewięćdziesiątki nową pięćdziesiątką do 2030 roku”. Podczas niemal każdego publicznego wystąpienia mówi, że osoba, która dożyje 150 lat, już się urodziła. Podczas zeszłorocznej konferencji Masters&Robots w Warszawie de Grey stwierdził, że dla niego *lifespan* (ang. długość życia) i *healthspan* (okres, w którym dana osoba cieszy się dobrym zdrowiem) są właściwie tożsame. – Długość życia powinna być ubocznym rezultatem zdrowego życia. Nie pracujemy nad długością życia, tylko zdrowia – powiedział. Od lat promuje on termin *longevity escape velocity* (prędkość ucieczki ku długowieczności). Pytam więc Bostroma o te 150 lat.

– Przewidywania Aubreya się spełnią, jeśli założymy, że najmłodsza osoba, która się urodziła, ma jeden dzień, czyli do momentu, gdy skończy 150 lat, mamy dość czasu, by mogły się wydarzyć przełomowe odkrycia dotyczące długowieczności – mówi powoli. – Bo to przecież bardzo długi czas na kolejne przełomy technologiczne. Komputery towarzyszą nam zaledwie od połowy XX wieku. Więc tak, jest na to szansa. Natomiast argument przeciwko słowom de Greya jest taki, że to coraz trudniejsze. Te najniższe wiszące owoce w kontekście wydłużania ludzkiego życia już zebraliśmy: ograniczyliśmy umieralność dzieci we wczesnym dzieciństwie, mamy antybiotyki, możemy jeszcze przestać

palić i w ten sposób zyskać kilka lat, ale żeby dodać ich więcej, potrzebny jest rozwój biomedyczny, który powinien nam dać wyrafinowane narzędzia do zmiany metabolizmu, usuwania różnych form uszkodzeń i odrastania tkanek.

Bostrom chwilę się zastanawia i zanim zadam kolejne pytanie, dorzuca:

– W ciągu tych 150 lat, zamiast ludzi biegnących po laboratoriach, by dokonać rozwoju biomedycznego, skorzystamy ze sztucznej inteligencji (AI), bo w jej obszarze rewolucja wydarzy się dużo szybciej; wszystko będzie zależeć od jej wyniku. Bo jeśli przysłuży nam się superinteligencja maszyn, osiągnięcia na polu nauki, które w innym przypadku zajęłyby wiek, mogą nastąpić nawet w ciągu kilku najbliższych lat. A zatem możemy tak myśleć o przyszłości, że to, co gatunek ludzki byłby w stanie osiągnąć w możliwym dla niego tempie i czasie – założmy, że w ciągu 40 tysięcy lat mielibyśmy kolonie na Marsie czy idealną rzeczywistość wirtualną albo nauczylibyśmy się ładować ludzką świadomość do komputerów – osiągniemy to dużo szybciej dzięki maszynowemu uczeniu się sztucznej inteligencji. Zbliżamy się do punktu zwrotnego w historii ludzkości, w którym długoterminowa przyszłość może zależeć od tego, jak dobrze poradzimy sobie z przejściem do ery AI.

Po słowach Bostroma przypominam sobie książkę Jacka Dukaja *Starość aksolotla*, w której garstce ludzi udaje się zgrać zawartość swoich umysłów – tę iskrę zwaną świadomością – do chmury, zanim fala śmiertelnego promieniowania zniszczy całe życie

organiczne na Ziemi. Gdy jeden z tych, którym się udało, „budzi się” po jakimś czasie na internetowych łączach, aktywuje jednego z japońskich seksrobotów, by móc za jego pośrednictwem poruszać się w świecie fizycznym. Mijają lata, dekady, stulecia, nasz bohater zmienia kolejne mechaniczne broje, buduje światy, tworzy nawet na nowo materię organiczną, ale nie przestaje marzyć o własnym, żywym, ciepłym ciele i stawiać sobie pytań, czy jeszcze jest człowiekiem i co to właściwie znaczy.

— JAK TO JEST tracić kontakt z rzeczywistością? Nie poznawać własnych dzieci, mieszać wspomnienia z teraźniejszością? We wzruszający sposób opowiada o tym komiks *Zmarszczki*, stworzony przez hiszpańskiego ilustratora Paco Rocę. W pierwszej scenie główny bohater, dyrektor banku, krzyczy w biurze na petenta, stawiając go do pionu. W następnym kadrze okazuje się, że tak naprawdę siedzi w łóżku, a jego mowy słuchają oszołomione dorosłe dzieci, które próbowały zaserwować mu jedzenie. Diagnoza – Alzheimer – prowadzi prosto do domu opieki, gdzie bohater zderza się z wieloma odmianami starości. I żadna – jak wierzy – nie stanie się jego udziałem. Myślę, że większość z czytających ten tekst myśli podobnie o swojej, jak to się pięknie nazywa w reklamach, jesieni życia. Nikt z nas nie chce jej spędzić w wiecznym czekaniu na swoją kolej do lekarza albo samotnie w mieszkaniu, patrząc z okna na zajęty ważnymi sprawami świat. Nie bierzemy pod uwagę rosnącej kruchości

ciała, słabnięcia naszego umysłu, rosnącej liczby leków do przyjmowania. Nikt nie chce zostać więźniem czwartego piętra [o seniorach zamkniętych w swoich mieszkaniach w blokach bez windy, którzy mają z tego powodu utrudniony kontakt ze światem, pisała Ewa Wołkanowska-Kołodziej, „Pismo” nr 1/2018 – przyp. red.], zawstydzonym, że własne ciało zaczyna wymykać mu się spod kontroli.

Jednocześnie wiemy już, że starość to choroba, a naukowcy wciąż starają się niwelować jej skutki, szukając jej przyczyn. Po lekturze książki dziennikarza naukowego Billa Gifforda *Wiecznie młody*, który próbuje zrozumieć, od czego zaczyna się starzenie, by w miarę możliwości je zatrzymać, zostało mi w pamięci zwłaszcza jedno zdanie: „Na pytanie, na czym polega tajemnica starzenia, odpowiedź byłaby «narząd nieużywany zanika», co dotyczy układu krążenia, mięśni, życia seksualnego i mózgu. Nieużywanie ciała ma tragiczne konsekwencje”. I to jest argument dla lekarzy, gdy namawiają nas do ruchu, pobudzania metabolizmu, ćwiczenia umysłu. Ale nie tylko o to chodzi. Aby wpłynąć na starzenie się, musimy najpierw zrozumieć, gdzie i kiedy ono zachodzi.

Szukanie odpowiedzi zaczynam u profesorki Ewy Sikory z Instytutu Biologii Doświadczalnej imienia Marcelego Nenckiego Polskiej Akademii Nauk, kierowniczką Pracowni Molekularnych Podstaw Starzenia, która na początku mojej wizyty zagaduje mnie, czy słyszałam o Bryanie Johnsonie. Gdy komentuję, że nie mam pojęcia, jak można łykać ponad sto pigułek dziennie, profesorka dodaje: – On nie jest naukowcem, ma dużo pieniędzy i nie wie, co robić w życiu, więc wydaje te pieniądze, jak mu się podoba. Natomiast wśród badaczy też jest coraz więcej takich, którzy twierdzą, że możemy przedłużyć życie nawet do kilkuset lat. Kiedyś to był tylko Aubrey de Grey. Środowisko naukowe trochę go lekceważyło.

Sikora komentuje, że zapowiadana przez de Greya długowieczność budziła sprzeciw, bo przecież proces starzenia zaczyna się bardzo wcześnie, gdy tylko kończy się dojrzewanie. Już w wieku trzydziestu, trzydziestu pięciu lat sprawność organizmu i umysłu człowieka zaczyna się zmieniać. Zwracam jej uwagę, że nikt wtedy nie myśli o starzeniu,



tylko kremy robią się droższe. – Jasne, długo czujemy się młodzi – zgadza się profesorka. – Te zmiany są na tyle powolne, minimalne i stopniowe, że długo ich nie zauważamy. Ale zachodzą.

Sikora nadmienia, że obecnie prowadzi się badania na zwierzętach, które charakteryzują się tak zwanym „zaniechwalnym starzeniem” – nie wykazują zmian, które widzimy u człowieka albo myszy laboratoryjnych, czyli spadku rozrodczości wraz z wiekiem, co jest najbardziej charakterystyczną cechą starzenia się. Zaliczają się do nich śludzie, meduzy, niektóre ryby i płazy. Po chwili pada nazwa golca pustynnego. – Paskudne zwierzę – wyrwa mi się. Przeczytałam o nim pierwszy raz w książce Billa Gifforda *Wiecznie młody*. Autor opisuje golca jako bezwłosego penisa z zębami; trudno mi się z nim nie zgodzić. Gifford tak opisał swoje spotkanie z tym gryzoniem: „Dwa najbardziej interesujące fakty związane z golcem piaskowym są takie, że zwierzę, na które patrzę, ma trzydzieści lat, czyli sześć razy więcej od najstarszej myszy laboratoryjnej. Po drugie, jest w ciąży. W kategoriach ludzkich trzymam odpowiednik ośmiusetletniej ciężarnej kobiety. Golce piaskowe najwyraźniej pokonały menopauzę”.

– Dobrze, że nie wie, że tak o nim myślimy, ale rzeczywiście jest paskudny – zgadza się profesorka. – Natomiast badanie tego gryzonia wskazuje na to, że pod pewnymi względami bardzo się różni od nas i od innych zwierząt doświadczalnych. W biogerontologii długo posługiwano się wynikami badań na muszce owocowce, myszy i wolnożyjącym nie pasożytniczym nicieniu *Caenorhabditis elegans*, bo te organizmy starzeją się podobnie do człowieka. W dodatku muszka owocowka czy robak żyją trzy tygodnie, mysz też krótko, więc w ciągu ich cyklu życiowego naukowiec może zrobić wiele doświadczeń. I rzeczywiście dużo mechanizmów starzenia się zostało odkrytych na tych zwierzętach, a potem się okazało, że u człowieka procesy te zachodzą bardzo podobnie.

Profesorka wspomina Wierę Gorbunową, amerykańską uczoną pochodzenia rosyjskiego, która wykryła, że golec produkuje dużo wielocząsteczkowego kwasu hialuronowego. Ten nie tylko robi dobrze na urodę, ale ma masę innych funkcji: zapobiega

nowotworom i wydłuża życie. Gdy Gorbunowa wyprodukowała transgeniczne myszy z genem kwasu hialuronowego golca, te też zaczęły żyć dłużej i nie chorują na nowotwory. – Ciekawe, prawda? – konkluduje Sikora. Pytam ją, na czym polega starzenie się człowieka.

– U podstaw starzenia się organizmu leży starzenie komórkowe – mówi. – Wraz z wiekiem przybywa nam starych komórek, które w dodatku wcale nie chcą umierać, nie są też eliminowane przez układ odpornościowy, tylko zasiedlają nasze narządy i wydzielają

Tempo procesu starzenia się jest regulowane genetycznie tylko w 20–25 procentach. Dopiero po osiemdziesiątym roku życia udział naszego komponentu genetycznego rośnie i wtedy nasza starość jest bardziej uwarunkowana genetycznie. Trzeba najpierw dożyć osiemdziesiątki, potem albo geny pomogą, albo nie.

czynniki prozapalne. Profesor Claudio Franceschi w 2000 roku zaproponował wyjaśnienie, że początkiem starzenia i chorób związanych z wiekiem jest przewlekły, sterylny stan zapalny, generowany przez starzejący się układ odpornościowy. Dziś wiemy, że nie tylko ten układ, ale też komórki innych tkanek starzeją się i wydzielają czynniki prozapalne. A im starsi jesteśmy, tym bardziej ten stan się zaognia. Po angielsku nazywa się to *inflammating*. Później uczeni postawili hipotezę, że gdy wyeliminujemy stare komórki, które się nie dzielą, więc nie regenerują tkanek, to zniknie też stan zapalny i powstanie przestrzeń na rozwój młodych komórek. Obecnie jesteśmy po etapie badań przedklinicznych, teraz zaczęły się kliniczne. Problem polega na tym, że FDA [Food and Drug Administration, czyli amerykańska Agencja Żywności i Leków – przyp. red.] nie daje zezwolenia na badania dotyczące starzenia, można jedynie badać wpływ leków na konkretne choroby będące efektem starzenia.

Sikora dodaje, że leki, które eliminują

stare komórki, zostały nazwane senolitykami (od słów *senescense* – ang. starzenie się i *liza* – rozpuszczenie, rozpad). Stosuje się je w badaniach klinicznych ukierunkowanych na choroby związane z wiekiem, jak Alzheimer, zwyrodnienie stawów czy zespół *frailty*, czyli kruchości.

– Bo nawet jeżeli na starość nie chorujemy na konkretną chorobę, jesteśmy takiej kruchej kondycji – dodaje profesorka.

– Porcelanowi – komentuję.

– Tak. Albo pergaminowi – odpowiada. – Celem gerontologii, która się teraz intensywnie rozwija, jest przedłużenie zdrowego życia, a nie życia w ogóle. Natomiast ono i tak nam się wydłuża, dane demograficzne mówią, że rośnie spodziewana długość życia, przybywa stulatków.

Jak podaje WHO, populacja sześćdziesiąt plus wzrosła z miliarda w 2020 roku do 1,4 miliarda w 2030, a do 2,1 miliarda do 2050 roku. Globalna liczba osiemdziesięciolatków (i starszych) do tego czasu sięgnie 426 milionów. Wielu z nich świetnie się trzyma, ale gros ludzi po prostu choruje, dlatego że starzenie się jest związane z chorobami wieku podeszłego. I nie ma od tego ucieczki.

z PYTANIEM O TO, co takiego zachodzi w komórkach, że zaczynają się starzeć, udaję się do Centrum Nowych Technologii Uniwersytetu Warszawskiego, i zadaję je doktorce Joannie Borkowskiej, biologce zajmującej się starzeniem na poziomie naszego genomu. Bo przecież, rozumiem, jeśli znamy przyczynę starzenia się komórek, możemy pracować nad próbą powstrzymania starzenia. Nasza rozmowa nie zaczyna się dobrze.

– Czy nasze komórki się starzeją?

– Tak do końca to tego nie wiemy.

Zanim wyłączę dyktafon, naukowczyni spieszy rozwinąć wątek:

– Starzenie się jest wieloczynnikowe i dotyczy każdego aspektu funkcjonowania komórki, począwszy od jądra komórkowego, naszego centrum dowodzenia. To w nim znajduje się nasze DNA, które stanowi matrycę, instrukcję dla komórki – tłumaczy. – Na podstawie tej matrycy produkowane są białka odpowiedzialne za funkcjonowanie enzymów czy części składowych komórki. Starzenie się dotyczy wszystkich tych

składowych, czyli białek, tłuszczów, innych makrocząsteczek, a także samego DNA. Więcej, dotyka też mitochondriów, czyli struktur w komórce, które mają własny genom. Mitochondria są ważne, bo w nich zachodzi cały metabolizm, jest produkowana energia, dlatego nazywane są elektrowniami dla komórki. Ale problem polega na tym, że nie wiemy tak naprawdę, co jest przyczyną, a co efektem tego procesu. Czy to dysfunkcja białek sprawia, że zachodzą zmiany w DNA, czy odwrotnie: to zmiany w samym DNA prowadzą do tego, że białka stają się dysfunkcyjne.

To dość problematyczne, bo bez tej wiedzy trudno zatrzymać starzenie się, nie mówiąc już o jego odwróceniu. Pytam więc, czy wiemy przynajmniej, że nasze geny wpływają na nas na tyle, że możemy z góry założyć, że będziemy się starzeć podobnie jak nasza matka albo babka.

– Nie do końca – studzi moje nadzieje ekspertka. – Badania dowodzą, że tempo procesu starzenia się jest regulowane genetycznie tylko w 20–25 procentach. Dopiero po osiemdziesiątym roku życia udział naszego komponentu genetycznego rośnie i wtedy nasza starość jest bardziej uwarunkowana genetycznie. Trzeba najpierw dożyć osiemdziesiątki, potem albo geny pomogą, albo nie.

Borkowska mówi, że na nasze życie i starzenie się ma wpływ przede wszystkim środowisko. Żeby zrozumieć, w jaki sposób, musimy wrócić do DNA, które siedzi sobie upakowane w jądrze komórki, nawinięte na białka histonowe jak nić na szpulki. Każda komórka, niezależnie od tego, czy buduje naszą skórę, wątrobę czy oko, ma taki sam komponent genetyczny, choć same komórki ze względu na ich funkcje są zupełnie różne. – A są inne w efekcie modyfikacji epigenetycznych. To klucz do zrozumienia procesu starzenia się – puentuje naukowczyni.

Jeśli użyjemy porównań komputerowych, DNA jest naszym kodem, a modyfikacje epigenetyczne są *software'em*, który pozwala ten kod odczytać w odpowiedni sposób. Odczytanie kodu polega na tym, że zależnie od typu komórki (skórna, wątrobowa czy nerwowa) aktywny ma być w niej odpowiedni zestaw białek, warunkujący jej funkcję. Modyfikacje są też odpowiedzialne za to, jak upakowane

jest DNA w komórkach – i to Borkowska bada w laboratorium. To struktura DNA warunkuje bowiem, czy dany gen ulega ekspresji, czyli przekłada się na reakcję biologiczną, czy nie. I właśnie modyfikacje epigenetyczne są bardzo podatne na środowisko, na przykład na uszkodzenia czy niezdrowy tryb życia. Weźmy przykładowo bliźniaczki, które – rozdzielone w dzieciństwie – spotykają się ze sobą po trzydziestu latach. W tym czasie jedna z nich nie stroniła od używek i stołowała się w *fast foodach*. Druga nie unikała ruchu i zawsze miała warzywa na talerzu. Tryb



życia zdążył już odbić się na ich wyglądzie i stanie zdrowia. Ich epigenom (czyli zestaw modyfikacji DNA) się zmienił.

Z terminem „epigenom” wiąże się coś, co ekscytuje od jakiegoś czasu naukowców i wszystkich marzących o dłuższym, zdrowszym życiu – zegar epigenetyczny. Jest to metoda szacowania naszego wieku biologicznego, który może się okazać inny niż nasz wiek chronologiczny. To oznacza, że możemy mieć na przykład czterdzieści trzy lata, ale nasz zegar mówi, że nasze ciało ma zaledwie trzydzieści cztery, tak dobrze jest zachowane. Prawdą może się zatem okazać stwierdzenie, że liczba świeczek na torcie to tylko liczba. Niestety, działa to też w drugą stronę i dlatego spotkania po latach z kolegami z klasy są czasem szokujące, gdy dawny kumpel z ławki bardziej niż siebie przypomina własnego ojca.

Pojęcie zegara epigenetycznego wymyślił genetyk Steve Horvath, który zajmuje się

procesami starzenia się na Uniwersytecie Kalifornijskim. Odkrył, że nasz wiek epigenetyczny wiąże się z metylacją DNA i podziałem komórek. – Nasze DNA zbudowane jest z czterech podjednostek, zasad, które tworzą kod genetyczny – tłumaczy cierpliwie Borkowska. – Do jednej z nich może zostać doczepiona grupa metylowa w procesie metylacji DNA, odpowiedzialnej za regulację aktywności genu, czyli za to, czy gen może wpłynąć na komórkę.

Modyfikacjom epigenetycznym podlegają wspomniane białka histonowe i nawinięta na nie nić DNA, które mieszczą się w jądrze komórkowym. A te modyfikacje odpowiadają za kształt każdej komórki mającej potencjał do przyjęcia dowolnej funkcji (pamiętacie: skóra, wątroba czy oko).

– Naukowcy nie wiedzą do końca, jak to działa, ale wygląda to trochę jak z oprogramowaniem, które włącza program i wówczas komórkom zostaje przypisana funkcja – mówi Borkowska. Komórka przyjmuje swoje funkcje w procesie różnicowania. A kiedy się dzieli, powieleniu ulega także samo DNA, bo przecież w każdej komórce musi być takie samo. Ale i tu zaczynają się schody: podczas podziału i powielenia dochodzi do pęknięć, błędów w kodzie, mutacji. Czasem niewielkich, ale regularnych. I choć same komórki w trakcie powielenia naprawiają się, to proces uszkodzenia postępuje. – W młodym organizmie wszystko naprawia się sprawnie, ale z wiekiem te mechanizmy przestają być tak skuteczne – wyjaśnia biologka. Im więcej razy komórka się podzieliła, a DNA zostało przepisane, tym więcej pojawia się uszkodzeń nie do naprawienia, zarówno na poziomie całej komórki, jak i w DNA. Każda komórka ma swój termin ważności, ale może stać się senescentna (zestarzeć się) przedwcześnie, gdy tych uszkodzeń jest dużo: komórka przestaje się dzielić i staje się komórką zombie, która wywołuje wspomniane już stany zapalne. – Nie, nie możemy tych komórek zregenerować – uprzedza moje pytanie Borkowska. – Można je jedynie usunąć lub próbować zahamować produkcję czynników prozapalnych wydzielanych przez te komórki. I to uważa się za jedną z metod powstrzymania starzenia organizmu, a przynajmniej spowolnienia tego procesu.

Dziś w laboratoriach na podstawie wzoru metylacji kilkuset miejsc w genomie, gdzie ona zachodzi, można przy użyciu algorytmów określić nasz wiek epigenetyczny. – Wiadomo, że wysoki wiek epigenetyczny koreluje z większym ryzykiem wczesnej śmierci, nowotworu czy innych chorób związanych ze starzeniem się – mówi Borkowska. – Ale podkreślam: nadal nie wiemy, czy te zmiany w epigenomie są przyczyną, czy następstwem procesu starzenia się i innych czynników. Natomiast pewne jest, że osoby długowieczne mają obniżony wiek epigenetyczny w stosunku do chronologicznego.



PRZYBYWA KSIĄŻEK, artykułów i filmów dokumentalnych o przedłużaniu życia. W Polsce ukazały się też książki Dana Buettnera, dr Davida A. Sinclaira, Andrew J. Scotta, czyli piewców długowieczności i planowania życia na dłużej niż zakładamy. Na platformie Netflix pojawił się serial dokumentalny *Życie 100 lat. Tajemnice niebieskich stref*, w którym pisarz i dziennikarz Dan Buettner, autor bestsellerowej książki *Niebieskie strefy. Dziewięć lekcji długowieczności od ludzi żyjących najdłużej*, niegdyś zapalony kolarz z licznymi medalami na koncie, próbuje wydobyć sekret długowieczności od osób mieszkających w rejonach o ponadprzeciętnej wysokiej populacji stulatków (to właśnie te tytułowe niebieskie strefy). Wśród nich znalazły się japońska Okinawa, włoska Sardinia, Nicoya w Kostaryce, grecka Ikaria i Loma Linda w Kalifornii. Jedynym wyjątkiem wśród – co charakterystyczne – wysp jest ta ostatnia, o niezbyt czystym powietrzu przegrzanej Kalifornii, gdzie mieszkają adwentyści.

Mimo odmiennych kultur i położenia geograficznego jest wiele elementów łączących te miejsca, a właściwie ludzi w nich żyjących – najważniejszym z nich jest sposób życia. Ich okołoświeceni mieszkańcy urodzili się w pierwszej ćwierci XX wieku, kiedy w powszechnym użyciu nie było środków transportu, przetworzonego jedzenia, telewizorów i komputerów, a także siedzącego trybu życia i pracy. Pod tym względem dla członków kalifornijskiego Kościoła adwentyistów bliskość wspólnoty religijnej stanowiła pewnego rodzaju „wyspowość” – wiara sprawia, że trzymają się blisko, prowadząc

podobny styl życia. A zakłada on codzienny ruch (mieszkańcy Okinawy wiele godzin dziennie uprawiają swoje ogródki; Sardyńscy mieszkańcy w miejscu, gdzie większość czasu spędza się, drepcząc pod górę, bo wyspę charakteryzują duże stromizny; adwentyści uprawiają sporty, w tym pickleball, przypominający trochę tenis), jedzenie przygotowanego przez siebie pożywienia (ręcznie wyrabiane chleby i makarony na Sardynii, domowe jedzenie w Kostaryce czy Ikarii), bliskość wspólnoty (mieszkańcy niebieskich stref mają bliskie relacje z krewnymi, przyjaciółmi i sąsiadami, a czas upływa im na pielęgnowaniu relacji) i poczucie sensu, wynikające z czucia się ważnym członkiem wspólnoty, oraz bliskość rówieśników. Oto przepis na długie, zdrowe życie!

Podobnie do problemu podszedł urodzony w 1983 roku Chris Hemsworth, australijski aktor, znany między innymi z roli Thora w filmowym uniwersum Marvela. Zmagający się z dużym napięciem, stresem i bezsennością czterdziestolatek gruntownie się przebadał i dowiedział się, że prawdopodobieństwo zachorowania na alzheimera jest u niego – w wyniku genetycznego spadku po

rodzicach i dziadkach – niemal dziesięciokrotnie wyższe niż przeciętne. Aktor postanowił sprawdzić, w jaki sposób może zminimalizować ryzyko zapadnięcia na tę i wiele innych chorób – w ten sposób powstał serial dokumentalny *Bez granic*, dostępny na platformie Disney+. Hemsworth decyduje się na poprawę swoich parametrów życiowych w ekstremalny sposób. Pływanie w morzach Arktyki, czterodniowy post i wspinanie się po trzydziestometrowym kłifie to tylko niektóre z jego pomysłów. Dokument w przystępny sposób pokazuje, jak codzienne wybory życiowe przekładają się na długofalowe skutki w naszym organizmie, które odczujemy dopiero po latach, gdy zaczniemy się interesować swoim zdrowiem i szansą na jego wydłużenie.

Czyli ciut za późno. Bo jak powtarzają autorzy licznych książek o długowieczności, naszym zdrowiem zaczynamy się tak naprawdę interesować wtedy, gdy je tracimy. Jedną z osób towarzyszących Hemsworthowi w serialu jest doktor Peter Attia, chirurg i specjalista od długowieczności, współautor książki *Outlive. The Science and Art Of Longevity (Przeżyć. Nauka i sztuka długowieczności, napisanej wspólnie z Billem Giffordem, fanem golca pustynnego)*. Attia uważa, że czas przemyśleć nasze podejście do medycyny oraz podejście medycyny do nas. Pisze to z mocno osobistej perspektywy, bo sam jako lekarz radzący licznym pacjentom, jak żyć zdrowo, postępował dokładnie na odwrót: nie dosypiał, przepracowywał się, żył w ciągłym stresie, żywił się śmieciowym jedzeniem i przez lata zaniedbywał relacje z bliskimi. Dopiero seria kryzysów zdrowotnych i osobistych sprawiła, że postanowił zaważać o zdrowie i dłuższe, lepsze życie. Swoją książkę napisał z wiarą, że medycyna 3.0 – taka, która nie polega na leczeniu pacjentów i wyprasaniu ich za drzwi, ale na zapobieganiu chorobom, traktowaniu pacjentów z uważnością i po partnersku, długofalowo – jest możliwa. „Podczas gdy medycyna 2.0 koncentruje się na długości życia i jest niemal w całości

nastawiona na odsunięcie śmierci w czasie, medycyna 3.0 dużo więcej uwagi poświęca utrzymaniu długiego zdrowia, jakości życia” (przeł. K.K.) – pisze Attia. Potrzebna jest perspektywa długofalowa, a nie działanie zrywami *ad hoc*, podkreśla. I choć, jak dodaje, nic nie możemy zrobić z naszym wiekiem chronologicznym, możemy się zastanowić nad samą definicją starzenia się. „Nie chodzi przecież jedynie o upływ czasu, ale o to, co się dzieje pod powierzchnią, w naszych organach, komórkach. Entropia wpływa na nas codziennie” – pisze.

Attia rozkłada starzenie się na trzy czynniki: spadek zdolności poznawczych (nasza pamięć zaczyna szwankować, a osobowość się zmienia), spadek, a w końcu utratę funkcji fizycznych naszego ciała (z wiekiem stajemy się delikatniejsi, bardziej podatni na złamania, nasze możliwości fizyczne są mniejsze) oraz nasze zdrowie psychiczne, emocjonalne (związane ze stresem, gorszym samopoczuciem, depresją). Żeby przestawić te wektory, zmniejszyć ich siłę, Attia proponuje pacjentom przyjęcie właściwej strategii na drugą połowę życia: odpowiednie odżywianie ciała, sprawność fizyczną, wystarczająco długi i jakościowy sen oraz zadbanie o nasze potrzeby emocjonalne. Jego podejście widać w serialu z Chrisem Hemsworthem, kiedy tłumaczy mu ryzyko zdrowotne związane z jego trybem życia oraz zalety proponowanych zmian. Hemsworth tylko kiwa głową i czasem ma minę, jakby chciał powiedzieć „Co jeszcze?”, ale w końcu z lekarzem o światowej renomie nie wypada się kłócić przed kamerami.

—
 SIEDZIMY NAD stygnącą herbatą z doktorką Joanną Borkowską. Przed chwilą zapytałam ją, co robi, żeby wydłużyć swoje zdrowe życie. I usłyszałam: – Nic. – Nie zamierzam jej osądzać, ale po kilkumiesięcznym zgłębianiu tematu starzenia się naszych organizmów oraz prób dowiedzenia się, co możemy zrobić, żeby ten proces opóźnić, a jego konsekwencje zminimalizować, nie ukrywam, że jestem rozczarowana jej odpowiedzią. Atmosfera w pokoju robi się gęsta. Aby ją oczyścić, pytam o wiek epigenetyczny. Skoro wiemy, że na nasz epigenom wpływa na styl życia i środowisko, w jakim żyjemy, to

oznacza, że mamy wpływ na nasze starzenie. Biolożka się ożywia.

– No właśnie, wiek epigenetyczny stał się markerem tego, czy coś nas odmładza – zaczyna. – Genetyk David Sinclair, który jest pionierem wielu odkryć w dziedzinie starzenia się, odkrył, że cofnięcie wieku epigenetycznego wiąże się z przywróceniem funkcji komórek i narządów.

– Ale jak to zrobić? – pytam. Borkowska przypomina mi, że kilka lat temu przyznano Nagrodę Nobla za tak zwane indukowane komórki macierzyste. Nagrodzeni naukowcy dowiedli, że jeśli sztucznie wywołamy ekspresję pewnych genów, to komórka z przypisaną funkcją (jak skóra, wątroba czy oko) stanie się podobna do komórki embrionalnej.

– Indukcja komórek macierzystych polega na tym, że nasz epigenom zostaje zrestartowany, czyli odmładza się, regeneruje. Zostaje

Attia proponuje pacjentom przyjęcie właściwej strategii na drugą połowę życia: odpowiednie odżywianie ciała, sprawność fizyczną, wystarczająco długi i jakościowy sen oraz zadbanie o nasze potrzeby emocjonalne.

przywrócona kopia zapasowa młodości – tłumaczy biolożka. – A to oznacza, że można cofnąć wiek epigenetyczny. Póki co, bezpieczeństwo takiego procesu jest wątpliwe, bo może prowadzić na przykład do rozwoju nowotworów – dodaje. Sinclair spróbował indukować ekspresję białek w komórkach odpowiedzialnych za nerw wzrokowy u myszy. W efekcie udało się zatrzymać degenerację wzroku, gryzoń zaczął lepiej widzieć. Dla Sinclaira to dowód, że zmiany w metylacji DNA są faktycznie główną przyczyną związanej z wiekiem dysfunkcji komórek. – I choć to wnioski na podstawie badań na genetycznie modyfikowanych myszach, powstają już firmy i instytuty, zakładane przez właścicieli Amazona i Google, które badają narzędzia pozwalające wywołać ten efekt – dodaje Borkowska.

—
 W CENTRUM Nauki Kopernik na kilku zdjęciach mogę prześledzić historię związku

pewnej pary. Ona – piękna, starsza dama, z długimi, siwymi włosami, czas obszedł się z nią łagodnie. On – młody, przystojny mężczyzna, wpatrzony w nią jak w obraz. Ale czujemy smutek, patrząc na te fotografie, bo my, oglądający, wiemy, że podczas gdy on wciąż wydaje się być na początku życiowej przygody, jej ciało niedługo odmówi posłuszeństwa i tak piękna historia miłosna się zakończy. A kochają się od ponad sześćdziesięciu lat. Gdy oboje byli młodzi, on zdecydował się poddać nowatorskiej terapii genowej, dzięki której komórki jego ciała przestały się starzeć. Ona się na to nie zgodziła. Dziś można tylko stawiać sobie w duchu pytania, które z nich dokonało słusznego wyboru: jej życie zaraz się skończy, a jego będzie już na zawsze obarczone utratą kolejnych bliskich osób, podczas gdy on będzie żył w niezmiennym stanie.

To oczywiście artystyczny eksperyment, do którego artystka Emilia Tikka zaprosiła aktorów: Helenę Norowicz i Erica Ehrentę. Tikka w swoich przejmujących pracach podejmuje dyskusję z tym, co oznacza nowoczesna technologia z jej zakusami wpływu na nasze geny, czym może się okazać ucieczka w długowieczność i jakie przynieść konsekwencje. Zastanawiam się, czy z podobnymi pytaniami mierzy się odmładzający się Bryan Johnson, który ma troje dorastających dzieci i patrzy na starzenie się swojego siedemdziesięcioletniego ojca.

Przygoda Bryana Johnsona z odmładzaniem, która wyewoluowała w filozofię *Don't die* (ang. „Nie umieraj”, jego osobiste motto), zaczęła się zaledwie kilka lat temu. Jako młody zdolny założył start-up zajmujący się płatnościami online, przy okazji został mężem i ojcem, całymi dniami oddając się pracy, a po niej próbując opiekować się dziećmi. W 2013 roku uznał, że lekarstwem na pogłębiającą się depresję i coraz większy marazm, w efekcie którego tył, pił i czuł się coraz gorzej, będzie pozbycie się firmy. I tak zrobił, sprzedał ją spółce PayPal za 800 milionów dolarów, po czym rozwiódł się z żoną i zaczął szukać dla siebie ratunku.

Wspomina w krótkich przemowach na Instagramie, że dopuszczał się wobec siebie aktów autodestrukcji, źle się odżywiając i nie śpiąc. W pewnym momencie rosące miliony na koncie postanowił zainwestować